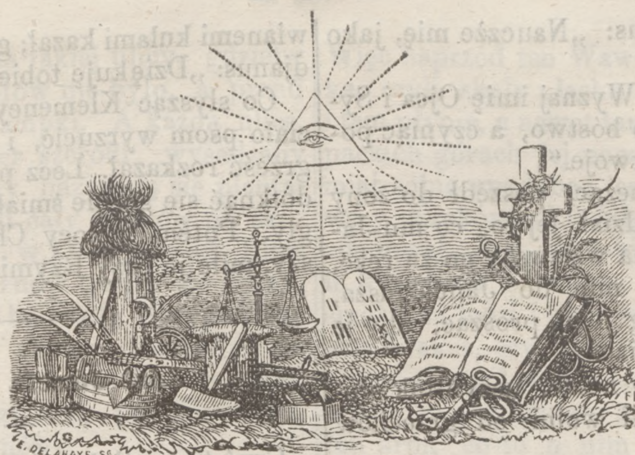
№ 39.
WARSZAWA
28 Września
1862.

REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr 1527.



„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Święty Gordjan.

Za czasu Juljana niezbożnego cesarza, wiele pojmano Chrześcian, i w więzieniu dręczono; między którymi był Januarjusz kapłan, w leciech już stary, którego Julianus kazał namiestnikowi swemu Gordjanowi sądzić, którego stawiwszy przed sobą, pytał Gordjanus: „Skądeś ty zacny krasomówco?' a on rzekł: „Jestem z Antyochij Chrześcijanin, z Chrześcian urodzony." Rzecze namiestnik: „Nie mów wiele, ani nas słowami oszukać chciej; to tylko sobie obieraj: albo ofiaruj bogom nieśmiertelnym, a będziesz w wielkiej przyjaźni u niezwyciężonego pana naszego Juljana; albo też na męki, któremi złoczyńców karzą, potępiony będziesz." Odpowiedział Januarjusz: „Jeżeli to uczynisz, abym się stał ofiarą Bogu memu, i cokolwiek od ciebie ucierpię, słusznie mi to pomoże za grzechy moje." Rzecze Gordjanus: „Odkupże się z tych grzechów, za które, jako sam znasz, karanie zasłużyłeś; ofiaruj, a wolny będziesz." Kapłan odpowiedział: „Ja w imie Pana mego Jezusa Chrystusa już odkupiony jestem, i zbawiony będę, i wielem innych przez chrzest, do tego zbawienia, i grzechów odpuszczenia przywiódł, którzy o sobie i szczęściu swém wieczném mądrze radzić chcieli. I ty, gdybyś miał rozum, z prawego byś serca tego pragnął, abyś znalazł odpocznienie duszy twej, po tym nędznym i odmiennym świecie, żebyś w męki piekielne bez końca nie wpadł, a wiecznego żywota przyjść mógł."

To słowo padło w serce Gordjanowi, i zaniechawszy sądu, kazał Śgo Januarjusza do domu swego prowadzić, i tam mu więzienie naznaczył; i przyzwawszy go do siebie w nocy, powiedział, iż się z nim namówić, a z rozmowy jego ucieszyć się chciał. I rzekł mu zaraz święty kapłan:

„Synu, nie trać czasu twego! żałuj z serca, a czyń pokutę, iżeś tak wiele ciał świętych bożych pomordował: ochrzcij się co prędzej, abyś dostąpić mógł odpoczynku wiecznego, a uchronić się piekielnego ognia."

Potém mu obiecał imieniem Jezusa Chrystusa, że jeżeli uwierzy, i ochrzci się, wszystkie grzechy i złoczyństwa odpuszczone mu

będą. Rzekł Gordjanus: „Nauczże mię, jako wierzyć mam?“

Odpowie kapłan: „Wyznaj imię Ojca i Syna i Ducha Śgo, jedno bóstwo, a czyniąc pokutę, późnej grzechy twoje.“

Tego Gordjanus płacząc, poszedł do żony swej Maryny, i powiedział jej to, co mu Januarjusz radził, a ona wziąwszy go za rękę, tejże godziny szła z nim do Januarjusza, i upadli oboje do nóg jego, prosząc, aby je ochrzcił; i wołali mówiąc:

„Wielkie są grzechy nasze, uczyń tak sługo boży, abyśmy byli wolni od grzechów naszych.“

Odpowiedział im kapłan: „Patrzcie tego, abyście całem sercem uwierzyli, a nic skrycie nie czynili, bo wiem, iż jesteście w wielkiej czci u cesarza.“

Odpowie Maryna: „Jeden tylko bałwan mamy w schowaniu, który nam od cesarza dany jest, dla którego święci boży męczeni byli; nie wiem, co z nim czynić?“ Wnet prowadziła świętego do komory swej, i on mu bałwan ukazała, który wziąwszy kapłan, spalił go, i potém z wielkiem weselem nauczył ich wiary, ochrzcił oboje Gordjana i Marynę, i czeladź ich 53 osób.

Po dwóch niedzielach posłał Juljanus cesarz do Gordjana sługę swego Klemencjana, rozkazując, aby Januarjusza kapłana, jeżeli ofiar pogańskich czynić nie chce, na rynku kijmi bić kazał. Gordjanus wyznał się być Chrześcijaninem, a kapłanowi świętemu powiadał: „Krzywdy żadnej czynić nie będę.“ To słysząc Klemencjanus, dał znać cesarzowi, iż Gordjana Junarjusz zwiódł, i żonę jego, i że popalili bogi. Tedy niezbożny Juljan potępić kazał na śmierć Januarjusza, a na Gordjanowe miejsce dał Klemencjana, który z rozkazania cesarskiego Gordjana do więzienia wsadził, a żonę jego do robót ciężkich za niewolnicę zaprzedał.

I zasiadłszy na sąd Klemencjusz, pozwał świętego Gordjana i mówił do niego: „I także śmiesz gardzić rozkazaniem pena twego, który cię takiemi urzędami uczcił. A potém wołał: „Ofiaruj, boć głowę uciąć każę. Odpowiedział święty Gordjanus: „Nie doczekasz tego nędzniku, na wieczne ciemności z panem twym potępiony.“

Tedy rozgniewany Klemencyjan, bić go ołowianemi kulami kazał; gdy go bito, wołał Gordjanus: „Dziękuję tobie Panie Jezu Chryste.“

Co słysząc Klemencyjan, uciąć mu głowę, ciało psom wyrzucić, i przez pięć dni go nie grześć rozkazał. Lecz psy około niego wyjąc, dotknąć się go nie śmiały, ale go raczej strzegły. Potém w nocy Chrześcijanie przyszedłszy, mile je przy Rzymie pogrzebli.

List Józefa do brata.

—

Czyś ty myślał mój kochany, żebym ja kiedy do ciebie z Krakowa list pisał? Ja, tom sobie zawsze o tém myślał, żeby też to być w jakiem miejscu takiem, co o niem ludzie tyle gadają, żeby też to na oczy widzieć te różne rzeczy, co się o nich człowiek od dziecka tyle nasłuchał. No i patrzaj, złożyło mi się tak, że jestem oto w Krakowie. Stoimy w hotelu Drezdeńskim, a tam okna wychodzą na rynek. Więc jak mój staruszek uśnie już sobie w swoim pokoju, to ja okno w swoim otwieram, stoję, albo i klękam do wieczornej modlitwy, a tak się czasem zapatrzę, że nieraz koło północka mi się ledwie przypomni, żo to czas iść do łóżka. Bo żebyś ty wiedział mój bracie, jak to patrzeć miło! Cicho naokoluteńko, że teraz mamy pełnię, więc miesiąc świeci jasno, i gwiazdami jak usiał na niebie. Aż tu pod niebo idą wielkie, wielkie wieże kościoła Panny Maryi, i znowuż jedna wieża taka opuszczona i samiutka jedna od starego ratusza, co go już nie masz, bo rozebrany, i w bok od kościoła Panny Maryi ciągnie się znowu taki wielki gmach, co się nazywa *Sukiennice*, a co go budował jeszcze Kazimierz Wielki król Chłopków, lat przeszło 500 temu. A te wszystkie mury, ogromne, stare, ciemne, to po księżycu wydają się jeszcze ogromniejsze i czarniejsze. Dopiero do tych wielkich i ogromnych tak, jakby się ze strachu przytuliły malutkie. Tu kościołek Śtej Jadwigi, co go pobożni robotnicy w nocy budowali, z tych cegieł, co im zostawały w dzień od kościoła Panny Maryi, a tam pomiędzy drzewami kościołek znów Śgo Wojciecha, tego Polski, i Czech apostoła, tego, co to ułożył tę pieśń, co z nią dawniej wojsko polskie do bitwy chodziło. Z rynku na wszystkie strony, wychodzą ulice między

stare gmachy, a niema takiej ulicy, gdzieby choć ze dwóch kościołów nie było, a przed figurami migoczą się lampki. A każda ulica, to wychodzi na szpaler szeroki, wysadzany drzewami. Te szpalery nazywają się plantacye, i temi plantacyami cały Kraków na okoluteńko obejdziesz, a w którąkolwiek ulicę wejdziesz, to zawsze znów trafisz do rynku, i zbłądzić nie można, bo wieża Maryjackiego kościoła nad wszystko sterczy, i wszędzie się po nich zmiarkujesz. A raz, jakem tak stał, i patrzał, tak stanął za mną pan Kazimierz, i westchnął ciężko, i mówi:

— Oj pusto, pusto, i cicho, jak w grobie, a jak tu głośno, i ludno, i huczno bywało, choćby i na tym rynku!

Jak pan Kazimierz odszedł, takem ja rozmyślał o otém wszystkiem.

O widzisz, zbudził się mój staruszek, i woła na mnie, to już chyba jutro ten list dokończę.

* * *

A to wiesz, po co stary wołał na mnie? Oto, że pan Kazimierz wychodził na miasto, więc żebym ja też poszedł z nim, i zobaczył. Szliśmy przez rynek, i potém przez najpiękniejszą, najdłuższą ulicę Grodzką. Pan Kazimierz strasznie był smutny, i słowa nie przemówił do mnie. Tak mnie to korció zaczęło, i chciałem koniecznie o co zaczepić. Więc mówię:

— Proszę pana, gdzie my to idziemy?

A pan Kazimierz tylko bąknął:

— Na Wawel.

Tak ja jeszcze się pytam:

— A co tam proszę pana na tym Wawelu?

A pan Kazimierz obrócił się, popatrzał na mnie, i powiada:

— Groby.

I jak usta zaciął, i głowę zwiesił, takem już przemówić nie śmiał; bo i mnie samemu niewiadomo dlaczego, smutno się zrobiło na sercu. Dopiero jakeśmy pooglądali wszystko, takeśmy w późny już wieczór, zaszli na plantacyje. Tak znów ślicznie księżyc świecił, siedzieliśmy długo na ławie, aż panu Kazimierzowi rozwiązały się jakoś usta, i zaczął się wypytywać, co mi się tu spodobało, i com spamiętał. Tłomaczył mi wszystko, a żem przed nim parę razy wszystko opowiedział z rzędu, więc póki pamiętam, to ci opiszę.

Więc naprzód ten Wawel, to jest góra wysoka, czyli skała płaska nad Wisłą, bo Wisła i tam płynie, a nawet tam niedaleko, bo w Karpackich górach jej początek. To miejsce, to miał sobie upodobać jeszcze Krakus, co pierwszy Kraków zakładał, i na tej skale zamek zbudował. A są też takie bajki, że w tej skale była jama okropna, i w tej jamie siedział smok, co ludzi i bydlęta pożerał, aż go zabił sam Krakus, czy też syn jego. I tak potém tu mieszkali królowie polscy, w tym zamku drewnianym, aż dopiero znów Kazimierz Wielki ten król, co to o nim powiadają, że zastał Polskę drewnianą, a zostawił ją murowaną, i zamek drewniany na murowany przerobił. Inni potém królowie dodawali mu obrony, i ożdoby. Więe porobiły się przepyszne sale, i obszerne komnaty. Tu się oni rodzili, tu umierali, tu radzili, tędy, po tych kamieniach chodzili, temi oknami wyglądali, tutaj się głos ich rozlegał, tutaj Jadwiga płakała... w te progi wchodził Jagiełło ochrzczony. Tu uradzone bywało, co się w kraju stać miało.

I na tym Wawelu ja byłem!

Chciałem się dotknąć rękami tych murów, ale taka tam ćma austryackiego wojska się kręci, kurzy cygara, szwargocze po niemiecku, rozkłada się po tych pokojach, po tych królewskich komnatach, że ani dostąpić.

— Tam gdzie żywi mieszkali, powiedział pan Kazimierz, tam nam dzisiaj nie wchodzić, chodźmy do umarłych.

Więc weszliśmy do katedry, i chodziliśmy od grobu do grobu. Takem się napatrzył tych kamiennych figur, tych umarłych królów i rycerzy we zbrojach, że mi ciągle w oczach stoją. Naprzód dzielny król Łokietek, co się natułał po obcych krajach, nim na ojczystym tronie zasiadł: leży, spoczywa tutaj. Z kamiennego jego oblicza patrzy groza, którą wrogów odstraszył: miecz spoczywa w kamiennej prawicy, którą tyle zdziałał, nim się tu do snu wiecznego układł.

Potém drugi, z płaczem i narzekaniem ludu całego tu złożony Kazimierz Wielki król Chłopów. Na te łzy, co po sobie zostawił, patrzył już z tego świata, gdzie łez i przemiany nie ma. Twarz jego sędziwa, spokojna, pogodna.

Dalej kamień, pod którym spoczywają zwłoki Jadwigi, a na kamieniu taki napis:

Jadwiga, Ludwika Węgierskiego i Polskiego króla córka,
Kazimierza Wielkiego wnuczka,
Władysława Jagiełły żona,
Zmarła roku 1399.
Pod tym kamieniem czeka dnia ostatniego.

Takem spamiętał ten ostatni wiersz, bo mi dziwno się robi na sercu, jak sobie o nim myślę. Żyła przed laty 300 blisko, i zmarła. Ciało pod kamieniem w proch rozsypane, a na kamieniu każdy czyta, że ona tam w grobie, na dzień ostatni, na dzień sądu pańskiego *czeka*!

Tak mi to czekanie utkwiło w głowie, żem się grobowcom Władysława Jagiełły i Kazimierza Jagielończyka, i Jana Olbrachta, nie bardzo przypatrywał. Wiem, że te dwa pierwsze są w jednej kaplicy, z czerwonego marmuru wyrobione, trzeci osobno, alem ciągle jeszcze myślał o Jadwidze, i nie bardzo uważałem.

Dopiero mi spodobała się ogromna kaplica Jagielońska. Taki tam śliczny obraz srebrny, i na nim malowania z pisma świętego i w tej kaplicy groby dwóch wielkich królów: Zygmunta starego i Zygmunta Augusta. Na grobie Zygmunta starego napisane, że on był ojciec ojczyzny, i że sobie sam za życia ten grób przygotował, i zbudował. Na grobie Zygmunta Augusta znów napisane, że mu go „wzniosła siostra, Anna Jagielońka, i własnemi oblała łzami.“ Tej Anny Jagielonki także tam jest grobowiec, i na nim wyrażone, że żyła bardzo cnotliwie, i była z rodu Jagiełłów ostatnią. Nad drzwiami tej kaplicy są dwa jej portrety; jeden jak była panną, a drugi już po królu Stefanie Batorym wdową, a we środku portret jej ojca króla Zygmunta Igo. Tak już widać było sądzone tej Annie Jagielonce, rodu Jagiełłów ostatniej, żeby wszystkich ukochanych swoich przeżyła, i wszystkim stawiała grobowce. Modliła się nad grobem ojca, brata grób łzami oblała, i mężowi, „w pokoju i wojnie wielkiemu Stefanowi Batoremu, wspaniały pomnik wzniosła.“

Od pomnika króla Stefana Batorego, przeszliśmy znów w bok do innej kaplicy. Zupełnie ona do tamtej Jagielońskiej niepodobna. Tam jakoś jasno, świetnie, miło; tutaj, tak ciemno, posępnie, smutno. Ściany czarnym marmurem wyłożone, żadnych figur wyrabianych nie ma, tylko na czarnych ścianach napisy na pamiątkę Zygmunta III, dwóch żon jego, dwóch synów: Władysława IV, i Jana Kazimierza, co panowali w Polsce, i trzeciego, co umarł biskupem. Strasznie w tej kaplicy żałobno, i niby jakoś do Piastów i Jagiełłów tęskno. Pytałem się pana Kazimierza, czemu tu tak ciemno, jakby kto jaki cień roztoczył? A pan Kazimierz się znów uśmiechnął smutnie, i mówi:

— Bo tam, to były pamiątki dnia jasnego chwały, a tu się chwała i szczęście miała ku zmierzchowi.

Nie bardzom ja to rozumiał, tylko pytam się: „A teraz panie, gdzie pójdziemy?“ A on mówi: „A teraz pod ziemię, do ciemnego lochu, gdzie ostatnie trumny.“

Dziad zapalił kaganek, otworzył drzwi ciężkie w podłodze kościelnej, i weszliśmy wązkiemi wschodkami do lochu. W ciemnościach nie wiele nam przyświecał kaganek, ale równie trumny dobrze znać było. Najpierw dwie bardzo wspaniałe na środku. Władysława IV i jego żony, i w nogach malutka trumienka ich dzieciątka. A z boku trumny z ciałami Jana Sobieskiego, i żony jego Maryi Kazimiery, i trumna Kościuszki, i ostatnia z wszystkich, co tu stoją trumna księcia Józefa Poniatowskiego. Pan Kazimierz stał przy niej długo; ręka starego dziadka zmęczyła się od przyświecania, i tak mu się trzęsła, że aż kaganek zagasł, i zostaliśmy całkiem w ciemnościach.

— A cóż Józku, powiedział pan Kazimierz, teraz jeszcze ciemniej?

A ja mu na to:

— Ciemniej proszę pana, już nie, jak o zmierzchu, ale jak w nocy.

— No dalej, szukajmyż po ciemku, jak wyjść na światło dzienne.

Przecież znaleźliśmy schody choć z trudnością, a kiedyśmy na ostatnim stanęli, przez wielkie okno zajaśniało słońce, światło napełniło cały kościół, i nas oblało. Było też to, samo południe już, takeśmy się przy tych grobach zabałamucili. Po południu wychodziliśmy jeszcze, i oglądali różne rzeczy, ale już teraz nie mam czasu pisać. Trzeba się zabierać do dalszej drogi. Pozdrów tam wszystkich odemnie. Powiedz Kasi, żem jej chciał kupić korale, a Jankowi czapeczkę z pawiem piórkiem, albo pas z kołkami, ale cóż, kiedy drogie, i tyle pieniędzy nie mam, kupiłem jej

tylko parę sznurków dętych paciorków, i kozik dla Janka. Jak przyjadę, to wam oddam, i uściskam was, a jak będę miał czas, to znowu napiszę.

Józef.

O Antonim Bylcu

POWIEŚĆ.

I.

Po smutnym dniu listopadowym, smutniejszy mrok zapadał wieczorem. Wśród smutnego zmroku, smutniej jeszcze wyglądała stara kamienica, na rogu Starego Miasta. Smutnie stérczały wielkie czarne mury, smutnie na podwórze ciągnęły się odrapane, długie na piętrach ganki, smutnie skrzypiały drzwi od czarnej sieni, z których ciemne i wązkie na górę prowadziły schody. Najsmutniej zaś z całego domu wyglądała najciaśniejsza izba, w najciemniejszym kącie. Izba ta, w najjaśniejszy dzień, prawie ciemną bywała, bo ściany jej czarne od wilgoci, okienko wąziuchne było i maleńkie, a od wysoko stérczącego naprzeciw muru, dzielił je tylko sciek, pełen najszkaradniejszych wyziewów. Można więc sobie łatwo wystawić, jak to było, w dzień listopadowy, pochmurny, o wieczornym zmroku. Długo mogłeś stać w progu, nim oczy ciemność przebiły, po płaczu dziecka poznałeś jedynie, że tu ludzie mieszkać muszą. Płacz ten, cichy, tłumiony, rozlegał się, i w tej oto chwili, w której historyę naszą rozpoczynamy. Takim płaczem odzywają się krótko na świecie te dzieci, co w nędzy się rodzą, i z nędzy umierają, nie nauczywszy się jeszcze ni słowa, ni uśmiechu. Taka dola czekała zapewnie, i to nędzne dziecie, co teraz ochrzypłym odzywa się płaczem. Oj, ta dola niewinnej istoty, co przyszła na świat, by wyrosnąć człowiekiem, Bogu wdzięcznym, a ludziom pożytecznym, a schodzić zeń musi wątłą dzieciną: ta dola ciężkiem spadnie brzemieniem na czyjeś sumienie, tę dolę zgotował... Ojciec! Ciężko będzie na wielkim sądzie, duszy jego, jeżeli niewinna duszyczka dziecka, co pójdzie niedługo przed tron Najwyższego, żalu, pokuty, przebaczenia nie uprosi.

Antoni Bylec, od lat kilku robił w wielkiej fabryce żelaznej, a nawet zręcznym i swój fach znającym był rzemieślnikiem. Płaca też jego wcale była znaczna, a do tego gdy ożenił się przed pięcioma laty, właściciel domu i fabryki, wyznaczył mu na mieszkanie sporą, jasną, i czystą izdebkę. O, nie tę ciemną, wilgotną, w której teraz płacze z głodu dziecko jego. Kiedy przywiązana młoda, i hoża żona, pierwszy raz próg tej izdebki przestępowała, wierzyła, że za tym progiem, czeka ją miłość i szczęście, i wierność małżeńska, tylko co przed ołtarzem pańskim zaprzysiężona. Przywitał ją też wesoło jasny promień słońca, co zaglądał przez duże, czyste okno. Ozłocił on białe ściany, nieliczne, ale chędogie sprzęty. Wszystko się uśmiechało do młodej gosposi. I parę doniczek kwitnącej geranij w oknie, i stół lakierowany z dwoma stołkami, i skrzynka, którą mąż żółtemi goździkami wybił, i nowiutkie naczynia kuchenne, i konewka z żelaznemi obręczami. Wszystkiemu z radością, z rozkoszą przypatrywała się Zuzia, i myślała sobie: jak to ona koło wszystkiego się krzątać, jak pracować będzie, jak mąż będzie z roboty powracał, jak wieczorem ogień rozpalony na kominie, wesoło odbijać będzie na białych ścianach... O biedna, biedna ta żona, co ufającém sercem powierzy dolę swoję w ręce wybranego męża, co spodziewa się znaleść miłość, opiekę, dobre słowo, miłe spojrzenie za trudy swoje i domową pracę, a zamiast tego wszystkiego, znajdzie opuszczenie, sponiewieranie, i gorzej nad to wszystko, głód i zimno dla swoich dziatek maleńkich, i nędzę bez ratunku, bez nadziei! Młodość jej więdnie, uroda ze łzami uchodzi, siły w pracy ustają, serce zapomina wszystkiego, a zna tylko trwogę przed mężem, i żal nad dolą dziatek. W uszach brzmi tylko płacz i klątwy, i myśli na nic już nie ma, tylko na to, jak schować ostatnią odrobinę chleba, gdzie znaleść choćby jeden wiórek na ogień. O biada! biada! takiej nieszczęśliwej, omylonej zawiedzionej kobiecie! Ale stokroć jeszcze większa biada temu, kto zakrwawia kochające serce, kto łamie przysięgę, kto powolną śmiercią żonę i dzieci zabija!

Któżby poznał ową wesołą, zwinną i nadobną Zuzię w tej kobiecie, co teraz koło komina stoi? Włosy jej nie zaczesane, opłowiałe, i stwardziałe, spadają na pożółkłą i zapa-

dniętą szyję, ostatnia nie zastawiona spódniczka nieochrania od wilgotnego zimna, nogi bose, uginają się pod brzemieniem drugiego dziecięcia, o którem myśli sobie nieszczęśliwa: „Bodaj lepiej na świat nie wyjrzało.“ Na chudych rękach występują nabrzmiałe żyły od ciężkiej pracy, oczy od łez wyblakłe, i twarz poorana łzami, co tak często po niej płyną! Ledwie tchu stać w piersiach, tak sili się biedna rozdmuchać iskrę w zimnym popiele, ogarniać nim wyszczerbiony garnek z wodą, w który zmiotła kilka ostatnich okruchów chleba. To cały ma być dla niej chorej, i dla dziecięcia posiłek.

Poczerwieniały od trunku, rozczochrany, w pomiętem ubraniu, z przekleństwem na ustach wszedł mąż i ojciec. Mały Jasio w kolebce, czy przestraszony ciężkim krokiem, i groźnym głosem jego, czy głodem pobudzony żałośniej jeszcze zapłakał. Kobieta pochyliła się nad gasnącym płomykiem, i łzy strumieniem pociekły jej po twarzy. Dogasła nierozdmuchana iskra, ciemność zupełna znów zaległa izbę, a przez drzwi, których Antoni nie zamknął za sobą, zimny wiatr zawiał, i tłukł się, swiszcząc po wilgotnych ścianach.

— Czego ten dzieciak tak wrzeszczy? słyszysz?

Głuche milczenie całą było odpowiedzią.

— Czemu niema ognia na kominie? Hej! ogłuchłaś: czyś oniemiała? Dawaj mi tu zaraz kolacyą. Cóż to myślisz, że jak pies głodny spać pójdę. Odezwiesz się ty, czy nie?

Nie odezwała się Zuzia, odstąpiła całkiem wystygłego komina, objęła kolebkę konwulsyjnie wyciągniętemi rękami, i cichym głosem dziecko utulić probowała.

— Czy wszyscy djabli nadali człowiekowi takie życie! Nie przestaniesz piszczyć ty bębnie! Dzień i noc tylko skamlenie tego dzieciaka, człowiekowi w uszach się odzywa! Choć wyjdę gdzie z tej ciemnej dziury, to zawsze jedno i jedno! Zawsze jakby koło mnie piszczało! A ty też łazisz jak trup, nie możesz to go uciszyć!

— Daj mu jeść, słabym głosem odezwała się nieszczęśliwa matka, daj mu jeść, to uciszy się zaraz!

— Niech djabli wezmą, nie wytrzymam tu z wami... Co mi za niewola! dawaj jeść!.. i dawaj jeść!.. Jak mnie tu nie będzie, jak pójdę w świat za góry, za lasy, to i tak wam jeść nie dam! Nie będziesz się na mnie oglądała... Nie będziesz miała na kogo wołać: dawaj jeść!

— Antoni! na miłość Boską, ty nie pójdziesz! Bógby cię skarał, jeżeli nie za mnie, to za dzieci! Ty mnie nie zostawisz z Jasiem... Ja chora, ja pewnie umrę przy tém drugiem... Co się z niemi stanie!..

— Myślisz, że będę czekał aż drugie przybędzie, i znowu skamleć zacznie? dziś jeszcze ruszam w świat.

— Człowieku! miejże Boga w sercu! Mnie i z tej dziury wyrzucą, tu zima idzie, tu niema co wziąść do gęby. Cóż ja zrobię na śniegu z maleńkiem dzieckiem.

— O już! już! zaczynasz lamentować! Od twoich lamentów pęknie mi głowa! Od twoich lamentów to, ja uciekam.

— Już nie będę lamentować, już nic nie powiem, tylko ratuj nas i siebie! Do kogóż pójdę? Do Boga wysoko! Matka nie usłyszy, bo już dawno w ziemi, przecieżeś ty mój mąż, przecieżeś ich ojciec! Któż im da jeść?! Ja nie zapracuję teraz, choćbym żyła, a jak umrę!.. O Boże! mój Boże!

Kamień by się był poruszył na tę mowę kobiety, poruszyło się też serce, poruszyły się wnętrzności w Antonim, nie poruszyło się sumienie! Widział przed sobą nędzę, śmierć żony, widział wychudłe rączęta Jasia wyciągnięte do siebie, widział malutkie dzieciątko od zimna skostniałe, i w głowie odurzonéj trunkiem, jedna myśl kołowała, uciec!..

Zerwał się z łóżka, na którem siedział, oczy mu dziko zamigotały, chwiejąc się, i ręką przed sobą probując, w ciemnościach drzwi szukał.

Nieszczęśliwa żona bez tchu porwała się od kolebki, stanęła na progu z rozkrzyżowanemi rękami!

— Usuń mi się! wrzasnął mąż, zaciskając pięści.

— Nie przejdziesz tego progu! Człowieku! Bógby cię skarał.

— Usuń się! straszniejszym jeszcze krzyknął głosem.

— Antosiu! mój mężu!

— Usuń się, bo... zabiję.

Opadły ręce kobiecie, zatoczyła się z przerażenia i omdlenia, nie obejrzał się zbrodniarz ani na nią, ani na dziecko, przestąpił ten próg,

za którym zostawił, nędzę i śmierć, poszedł w świat szeroki, poszedł daleko! Ale choć najdalej, czy przed gniewem Bożym ucieczę?.. Poszedł w ciemności, co rozpościerała się na około, śnieg zasypał ślady stóp jego, wiatr wył przeraźliwie, i przynosił, jak mu się zdawało jęk żony i płacz dziecka do uszów jego! O! przed tym jękiem, przed tym płaczem, nie ucieczę nigdzie, a nigdzie! na końcu świata słyszeć go będzie do dnia sądnego, chyba... że Bóg przebaczy!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Jakie są u nas wsie.

—

Wieś Szczawin w powiecie Rawskim położona, należy niezawodnie do tych wyjątkowych włości w naszym kraju, gdzie zamożność mieszkańców, i wypływające z niej następstwa dotykalnie się dają widzieć na każdym kroku. Gospodarze, zostający już od lat kilku na czynszu, wznieśli swemi siłami zagrody obszerne i wygodne; z pozoru zaraz widać, że tam wewnątrz mieszka dostatek i porządek. Obok niektórych zdarzy się ujrzeć już i sadek, niedawno widać powstały, bo drzewiny małe, ale przecież przy łasce Bożej, jeśli nie ten, co go zasadził, ogrodził i pielęgnuje, to potomstwo jego doczeka się owoców, i używając ich, mile wspominać będzie pamięć tego, którego pracy prawdziwie obywatelskiej owoce te zawdzięczać będą. Rzecz dziwna, że nasi gospodarze tak mało jeszcze cenią korzyści z sadów, i mało dbają o ich zakładanie, chociaż to nie tak wielu zachodów wymaga. A jakiż to zdrowy, przyjemny i posilny pokarm dają owoce. Tam, gdzie już sady u włościan, dla ojców i matek, jakaż to rozkosz patrzeć, jak ich dobre dzieci w sadku własnym biegają szczęśliwe i uradowane, bo mają tam swoje własne, a takie smaczne wisienki, jabłuszka. gruszki i śliwki,— mają tam i kwiatki różne, chmiel, miętę, i leszczynę z orzechami.

Szczawin jest wsią parafialną, a tém samém kościelną. Kościołek w niej skromny, malutki, z wierzchu podobny do wszystkich kościołów wiejskich, ale parkan porządny dokoła wzniesiony świadczy, że tam i wewnątrz ład być musi. Jakoż istotnie, wszedłszy wewnątrz, ze zdumieniem się widzi schludne, i ozdobne malowidła, jakiemi opatrzony jest cały kościołek. Malowidła te są świeże, a wszystkie dokonane zostały ze składek dobrowolnie przez parafian złożonych, a w składce tej włościanie Szczawińscy tak znaczny i chętny udział mieli. Dwór ze Szczawina pierwszy dał przykład, tém samém i najlepszą zachętę. Jakkolwiek zatem parafia nieliczna, zebrane jednak składki wystarczyły na uczciwe odnowienie kościoła. Ołtarze opatrzone w piękne antepedya, srebrne świeczniki, świece jarzące, co wszystko zbytkiem bynajmniej nie trąci, ale owszem nadaje kościołowi tę wytworność, która jest należną domowi Bożemu, i w obec której w duszy modlących się, wznieca się uczucie tem większej pobożności. Już i dzwon głośny na miejsce starego zużytego, zawieszono w dzwonnicy kościołka, a niedługo stanie nowa kopułka, która i z wierzchu dom Boży przyozdobi. Nie mogli się tylko zdobyć parafianie na nowe apparata kościelne i organy; lecz spodziewać się można, że tam, gdzie już tyle dla chwały Bożej zrobiono, znajdzie się dość woli i środków, dla dokończenia dzieła odnowienia kościołka. Może też te zacne panie nasze, które zaopatrują w apparata kościołki wiejskie, i o kościołku Szczawińskim pomyślą. Od razu także przewidzieć można, że tam, gdzie kościołek tak pięknie przyozdobiony, i miejsce spoczynku ojców dzisiejszych parafian w zapomnieniu być nie może. Jakoż istotnie cmentarz okopano wałem, obsadzono dokoła krzakami, a choć niema parkanu i muru, cmentarz jednakże dosyć jest zabezpieczony od napaści wiejskiego inwentarza. Wygracowane w różnych kierunkach dróżki, uwalniają mogiły zmarłych od niepokojenia ich po śmierci, a dla pobożnie zwiedzających, prawdziwej dostarczają wygody, bo gdy po tym skromnym, a tak porządnie utrzymanym cmentarzu idziesz, nieobawiasz się, abyś niedeptałał grobów zmartych, a tém więcej ich szczątków, też nie podołach i górkach, nie wśród chwastów, ale po równej drożynie idziesz. A jakaż to chwała i dla proboszcza, u którego kościół, i cmentarz tak wzorowo są utzymywane, a parafianie tak bogobojni, moralni i uczciwi.

Trudno tylko pojąć, jakim sposobem włościanie Szczawińscy, którzy okazują się tak gorliwemi dla chwały Bożej, i którym też Pan Bóg tyle dostatków, i wszystkiego dobrego

udziela, nie zdobyli się jeszcze dotąd ani na pisemko ludowe, ani na szkółkę dla swoich dziatek. A przecież to wieś licząca przeszło 60 chat, więc choćby liczyć po jedném dziecku w każdej chacie, to już do szkółki porządnaby się liczba ich zebrała. Czyż to nie grzech zatém, aby wieś tak ludna i zamożna, gdzie utrzymanie Nauczyciela, nie więcej jak kilkoma złotemi każda chata mogłaby zaspokoić, dotychczas była pozbawioną szkoły. Ale można mieć nadzieję, że skoro tylko tamtejsza okolica, jak inne pomyśli o zakładaniu szkółek, skoro tylko dwór i proboszcz miejscowy zechcą się tem zająć szczerze, o czem nie wątpić, włościanie Szczawińscy nie dadzą się wyprzedzić swoim sąsiadom, i sami zajmą się założeniem szkółki, aby im to tylko ułatwiono zachęceniem, wynalezieniem, i ugodzeniem na Nauczyciela, spokojnego, a przedewszystkiem trzeźwego i uczciwego człowieka, i nareszcie sprowadzeniem elementarzy.

Zacni mieszkańcy Szczawina! Za uczciwą pracę Waszą Bóg Wam błogosławi, a Wy wdzięczni za to, jak umiecie i możecie chwałę i ofiary Stwórcy czynicie,— więc wiedźcież i pamiętajcie, że najmilszą będzie Bogu praca i grosz ten, które oddacie na naukę swych najmilszych dzieci. I dzieci, już nie ciemne, ale nauczone, jak wyrosną, jakże wam wdzięczne będą, a jak to zaraz będzie lepiej im samym, i wam i nam wszystkim, co razem na tej ziemi jesteśmy.

Przykłady nadzwyczajnej zręczności.

—

Podróżni opowiadają o Indyanach mieszkających w Azyj, że ci strzelają z łuku z taką zręcznością, iż niekiedy ucinają strzałami włosy dzieciom z głowy, bez zadnego wypadku.

— Niejakiś Soran wypuszczał z łuku strzałę w powietrze, a kiedy ta spadała z powrotem ku ziemi, przestrzeliwał ją drugą strzałą.

— Filip król Macedoński, przy oblężeniu Methony, raniony był strzałą w prawe oko, a na której to strzale zatknięta też była karteczka z napisem: „w prawe oko Filipa.“

— Myrmecides wyrobił z drzewa wóz, woźnicę i cztery konie tak maleńkie, choć nadzwyczaj wyraźne, że się wszystko dało przykryć skrzydełkiem muchy. Tenże sam wyrobił okręt, który można było pokryć skrzydełkiem pszczoły.

— Książe Urbin miał w pierścionku na palcu zegarek, który szedł bardzo dobrze.

Różności.

Wawrzeniec Okrajny.— Jakąż to radość sprawia każdemu poczciwemu człowiekowi, gdy dowiaduje się, że znajomość i spełnianie obowiązków obywatelskich, co raz powszechniejsze u nas się staje. Niemożemy żądać ani się też spodziewać, aby już dzisiaj każdy z nas dobrze rozumiał i spełniał to, co prawdziwego obywatela znamionuje. Ale jakże cieszyć się możemy, gdy prawdziwie i wysoko obywatelskie czyny spotykamy tam, gdzie najmniéj mamy prawa spodziewać się ich teraz. Oto tu w Warszawie u jednego z księgarzy czytaliśmy list dzierżawcy N... z prośbą o przysłanie za pieniądze książek do szkółki potrzebnych. Do tego listu pan N. dołączył sto złotych polskich, i karteczkę, na której czytaliśmy „Wypis książek dla ludu, wybranych przez Wawrzeńca Okrajnego włościanina ze wsi Sułoszowéj. Na karteczce téj Okrajny własnoręcznie, wyraźnie i porządnie następujących książek żądał: Żywot P. N. J. Chrystusa przez księdza Rzewuskiego; — Rys powinności Chrześcijanina;— Historya Swięta; — Obrazki historyczne; — Wzór pracy i oszczędności (pan Wojciech); — Historya ciekawa o chłopcu wiéjskim; — Droga do majątku. Jeszcze inne stósowne książki na tymże spisie znajdujące się, dopisane były ręką zacnego dzierżawcy, który czyniąc chętnie tę usługę swym sąsiadom, — nachwalić się niemoże zacnego Wawrzeńca, powiada, także, iż w Sułoszowéj nie masz ani szkółki, ani nauczyciela, więc Wawrzeniec w chwilach wolnych od robót gospodarskich sam u siebie dzieci zbiera i uczy,“ Życząc zacnemu Wawrzeńcowi wytrwałości i jak najlepszego powodzenia, spodziewamy się, że znajdą się tam ludzie, co pomogą w tak uczciwéj, ogółowi pożytecznéj pracy.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15.
Na prowincyi, na wszystkich stacy ach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 28 Września 1862 r.